

Całkiem nowe życie Marii Ulatowskiej

Rozmowa z autorką powieści „Całkiem nowe życie”

Jak to się stało, że została Pani pisarką? Specjalista prawa dewizowego to zawód dość odległy od literatury...

Zacznę od prawa dewizowego – tak, z literaturą popularną może ono miało niewiele wspólnego, ale moja praca polegała właśnie na pisaniu. Pisałam projekty różnych przepisów dewizowych, pisałam artykuły – do różnych periodyków – o tychże przepisach, byłam także współautorką książki „Prawo dewizowe. Komentarz” (wydanej w 2000 roku).

A pisarką – w ogólnym rozumieniu tego słowa – zostałam przez przypadek. Do znudzenia opowiadam, że weszłam w koalicję z klawiaturą mojego komputera i tak to się zaczęło. A poważniej – po prostu pewnego dnia postanowiłam spróbować. Wymyśliłam historię, sejf strzegący tajemnicy przez całą wojnę, Powstanie Warszawskie i wiele lat później. Wymyśliłam suczkę Szyszkę, pana Dyzia i Irenkę. Historię rodu Anny Towiańskiej. I to wystarczyło, całość napisała się szybko, potem powstała część dalsza. I książka następna, następna i jeszcze następna. I tak dalej.

Gdyby w czasach studiów ktoś powiedział Pani, że na emeryturze Maria Ulatowska będzie popularną pisarką, co by mu Pani odpowiedziała?

Uwierzyłabym w to, że będę popularna, ale nie w to, że będę popularną pisarką, bo – ponieważ zawsze dużo czytałam, nie wierzyłam, że kiedykolwiek umiałabym napisać coś poza listem, pismem, artykułem. Chciałam być dziennikarką, a to jeszcze nie „pisarstwo”. Dziennikarstwo mi nie wyszło, a pisanie – no, proszę! – jakoś wyszło.

Jak zmieniło się Pani życie od czasu wydania pierwszej książki?

Poznałam mnóstwo świetnych ludzi, koleżanki i kolegów „po piórze”. Z koleżankami pisarkami stworzyłyśmy silną grupę, nazywaną roboczo „Rzeczliteracką babską”, lub „Grupą Siedlecką”, bowiem poznałyśmy się i zintegrowałyśmy w Siedlcach w roku 2010. Od tego czasu trzymamy się razem, kochamy, przyjaźnimy, spotykamy jak można najczęściej. Tworzymy przeróżne wydarzenia, wspólne spotkania autorskie, panele literackie. Naszym największym osiągnięciem było wymyślenie i powołanie do życia Festiwalu Literatury Kobiecej, który w tym roku będzie miał swoją drugą edycję. Jeżdżę dużo po kraju, w ramach spotkań autorskich odwiedzam miejsca, które do tej pory istniały dla mnie tylko jako nazwy geograficzne. Ludzie wszędzie tam są cudowni, gościnni, przyjaźni. I, co najważniejsze, czytają książki i chcą o nich rozmawiać.

Jakie są najprzyjemniejsze strony bycia pisarką?

Ludzkie uśmiechy, wyrazy poparcia, czasami nawet – zachwyty. To jest najmiłsze i najwspanialsze. Świadomość, że tak wiele osób czyta moje książki i czasami utożsamia się z bohaterami i lubi ich. To dla mnie bardzo ważne.

Często słyszę: „Jak pani to robi, że czytając pani książki, zawsze jestem w środku, myślę, jak główna bohaterka i nawet czuję zapach sosnowych igieł?”. To jest najwspanialsze.

A czy są jakieś wady?

Największą wadą jest chroniczny brak czasu na coś, co lubię robić najbardziej – czyli na czytanie książek. Oczywiście czytam je nadal, ale nie tyle, ile bym chciała, i stosik (całe stosisko) książek oczekujących na przeczytanie ciągle rośnie.

Od Pani debiutu minęły w lutym dwa lata, właśnie do czytelników trafiła Pani szósta książka. Jak Pani to robi? Skąd czerpie Pani pomysły na swoje książki?

Trzy pierwsze książki znalazły się w moim wydawnictwie prawie równocześnie. To wydawnictwo należałoby zapytać, jak to uczyniło, że zostały wydane w jednym (2011) roku. W 2012 r. ukazały się dwie następne (czwarta i piąta), a w roku bieżącym – na razie! – powieść szósta – „Całkiem nowe życie”.

Jak to robię? Odpowiem jak Adam Małysz, który zapytany, jak to robi, że ma takie świetne wyniki, odrzekł że po prostu siada na belce, jedzie, odbija się i skacze. No więc i ja – siadam przy komputerze, kładę ręce na klawiaturze – i piszę. Przypominam, że jestem na emeryturze, więc mam więcej czasu niż moje piszące koleżanki pracujące na etatach, mające na dodatek mniejsze lub większe dzieci. Mnie rodzina już na szczęście nie absorbuje. Na dodatek mam coś w rodzaju własnej pracowni, gdzie mogę zaszyć się i pisać, wtedy gdy mam ochotę. A pomysły? Trochę już żyję na tym świecie, widziałam więc i słyszałam więcej ludzkich historii, niż kiedykolwiek mogłabym opisać. Widzę, słyszę, pamiętam. Potem to już bardzo proste – pozmieniać szczegóły, wszystko wstrząsnąć i wymieszać – i przelać na papier.

Którą ze swoich książek lubi Pani najbardziej?

To pytanie z serii: „które dziecko kochasz bardziej?”. Odpowiedź powinna być zawsze jedna – wszystkie. Jednak ja mam dwie ulubione – „Domek nad morzem”, bo jest dla mnie książką najbardziej osobistą, i „Kamienica przy Kruczej”, bo przy niej najbardziej się napracowałam. To były dwie ulubione – a ta „najulubiejsza” to „Sosnowe dziedzictwo”, od którego wszystko się zaczęło – i dlatego, że moje czytelniczki czują zapach lasu, słyszą szum fal sosnowkowego jeziora i kochają suczkę Szyszkę (oraz, oczywiście, pana Dyzia).

Kiedyś narzędziem pisarza było pióro, potem maszyna do pisania. Pani poza książkami pisze również blog, z czytelnikami kontaktuje się Pani za pomocą Facebooka. To chyba znaczy, że wszystkie nowinki technologiczne, które mamy obecnie do dyspozycji traktuje Pani jak normalne narzędzia pracy, a nie jak zło konieczne?

Ależ oczywiście – to normalne narzędzia pracy. Nie napisałabym niczego ołówkiem w zeszytach, bo jestem zbyt niecierpliwa, aby nanosić poprawki, przepisywać, zmieniać itd. W komputerze jest to bardzo łatwe. Swoją pracę dyplomową (pierwszą) pisałam właśnie długopisem, a potem sama przepisywałam na maszynie. Myliłam się zazwyczaj pod koniec strony, z czym wiązała się konieczność przepisywania całej strony od początku. Brrr! Nigdy więcej. I o ile uboższy byłby świat bez Facebooka...